

*Joanna*  
**CHMIELEWSKA**

Wszyscy jesteśmy podejrzani



*Joanna*  
**CHMIELEWSKA**

**Wszyscy jesteśmy podejrzani**



  
KLIN

Redakcja: *Ewa Kłosiewicz*  
Korekta: *Małgorzata Kot*  
Projekt okładki: *Agata Plewicka*  
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

© Copyright by Wydawnictwo Klin, Warszawa 2014

ISBN 978-83-62136-73-5

Wydawnictwo Klin  
Warszawa, ul. J. Sobieskiego 10/72  
tel. +48 501 686 786  
e-mail: [m.g.klin@op.pl](mailto:m.g.klin@op.pl)  
[www.wydawnictwoklin.pl](http://www.wydawnictwoklin.pl)

## OSOBY:

Wielobranżowa Pracownia Projektowa, twór nietypowy, obdarzony łonem, w którym to łonie pomieszczono co następuje:

### I. ZESPÓŁ ARCHITEKTONICZNY

1. **W i t e k** – kierownik zespołu, a zarazem kierownik pracowni oraz dyrektor. Prywatnie – kawaler obdarzony nieprzeciętną aparycją i skomplikowanym charakterem.

2. **K a z i o** – prawie stuprocentowy bon viveur, żonaty, dzieciaty, wyjątkowo utalentowany w dziedzinie pokonywania przeciwności życiowych.

3. **A l i c j a** – uosobienie roztargnienia, kobieta samodzielna, przepełniona poczuciem humoru i niechęcią do kierownika pracowni.

4. **R y s z a r d** – rozwiedziony szaleniec z córeczką, opętany manią wyjazdu w egzotyczne kraje.

5. **W i t o l d** – rażąca plama na tle reszty, jedyny człowiek normalny.

6. **J a n u s z** – kawaler w ostatnim stadium, podrywacz, zamierzający od dnia ślubu przeistoczyć się w statecznego obywatela.

7. **W i e s i o** – najmłodszy z zespołu, od niedawna żonaty, bezdzietny, cicha woda.

8. L e s z e k – melancholik, z artystyczną duszą, niezrozumiany przez otoczenie, a głównie przez żonę.

9. M a r e k – osobnik niezwykle urodziwy, zsyłany do pracowni przez siły nadprzyrodzone we właściwych chwilach.

10. J o a n n a – autorka przedstawienia, ofiara własnej wyobraźni.

## II. ZESPÓŁ KONSTRUKCYJNY

11. K a c p e r – człowiek pełen osobliwych fantazji i dziwactw, o aparycji Don Kichota i sercu jak wulkan.

12. A n k a – przedstawicielka współczesnej, pozytywnej młodzieży, świeżo poślubiona nie temu, komu by chciała.

## III. ZESPÓŁ INSTALACJI SANITARNYCH

13. Z b y s z e k – kierownik zespołu i naczelny inżynier pracowni. Prywatnie – ostatni egzemplarz błędnego rycerza, wzór cnót, kochający ojciec jedyne go syna, gnębiony nielegalnym uczuciem do kobiety.

14. S t e f a n – awanturnik z dobrym sercem, szarpany okropną niepewnością: wstydzić się wieku czy chwalić wnukiem.

15. A n d r z e j – porządny, solidny i pracowity młodzieniec, prawie taki wzór jak Zbyszek.

16. T a d e u s z S t o l a r e k – ofiara.

## IV. ZESPÓŁ ELEKTRYCZNY

17. W ł o d e k – kierownik zespołu, masochista i historyk, naczelny plotkarz biura.

18. K a j t e k – prywatnie syn Kacpra, młody człowiek, uprawiający ciemne interesy, przyjaciel ofiary.

## V. ZESPÓŁ KOSZTORYSÓW

19. J a r e k – szlachetny typ warszawskiego cwaniaka, również uprawiający ciemne interesy i również przyjaciel ofiary.

20. D a n k a – rozwiedziona, z dwojgiem dzieci, nieco zaniedbana przez nadmiar zmartwień swoich i cudzych, przyjaciółka Jadwigi.

## VI. ADMINISTRACJA

21. O l g i e r d – główny księgowy, nieskazitelnie wytworny, przedwojenny starszy pan, czujący się w gąszczu finansowych komplikacji jak ryba w wodzie.

22. M a t y l d a – prywatnie siostra Olgierda, służbowo – ideał sekretarki.

23. M o n i k a – kierowniczka administracyjna, wdowa z dwojgiem dzieci, kobieta piękna i ognista, przedmiot uczuć Kacpra.

24. J a d w i g a – ofiara ciosów życiowych i byłego męża-brutala, kochająca matka ukochanej jedynaczki, dla dziecka gotowa na wszystko.

25. W i e s i a – śmiertelna nieprzyjaciółka Jadwigi, przepelniona jadem, żółcią i nienawiścią do świata nie wiadomo dlaczego.

26. P a n i G l e b o w a – woźna, sprzątaczką i herbaciarką, uważająca nas wszystkich za dopust boży i karę za grzechy.

Spoza łona dokooptowano (wbrew protestom) osoby następujące:

1. K a p i t a n – przedstawiciel władz śledczych, człowiek normalny.

2. P r o k u r a t o r – wybryk natury, przedstawiciel władz jak wyżej, a ponadto czynników nadprzyrodzonych.

Uroczyście i obłudnie oświadczam, że wszystkie osoby i sytuacje w niniejszym utworze są fikcją, a jakakolwiek zbieżność z rzeczywistością jest najzupełniej przypadkowa.

## Jak NIE napisałam powieści

Od najmłodszych, najdawniejszych lat pokutowało we mnie gorące pragnienie napisania powieści. Było tak dawne, zastarzałe, tak głęboko zakorzenione, że chyba urodziło się razem ze mną.

Nie marzyłam ani o karierze gwiazdy filmowej, ani o mariażu z księciem z bajki. Nie, nic z tych rzeczy. Marzyłam o napisaniu powieści.

W zamierzchłych czasach wczesnego dzieciństwa miałam zamiar napisać wstrząsającą powieść o miłości. W miarę możliwości nieszczęśliwej, bo w szczęśliwej nie widziałam nic interesującego. Sama miałam wystąpić w charakterze głównej bohaterki, młodej dziewczyny cudnej urody i nieprzeciętnych zalet, obdarzonej płomiennym uczuciem przez jakiegoś bliżej mi nieznanego faceta. Facet był ognistym brunetem o czarnych, gorejących oczach i równie czarnych wąsach. Łączył mnie z nim pierwszy pocałunek w okolicznościach nieco niezwykłych: na karych koniach, w nocy, w czasie szalejącej burzy, gradobicia i wyładowań atmosferycznych, na skraju mrocznego lasu. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego to wszystko było takie atramentowoczarne!



Stopniowo, trwając nadal w zamiarze uwiecznienia nadnaturalnych uczuć, zmieniałam nieco pewne rekwizyty. Burzliwą noc zamieniłam na pogodny, księżycowy wieczór, zgoliłam facetowi wąsy i zlikwidowałam konie. Potem poczyniłam dalsze zmiany zarówno w powierzchni, jak i w zachowaniu się dwojga głównych bohaterów, ale, pomimo najszczerzych wysiłków, poza ową scenę pierwszego pocałunku nigdy nie udało mi się wyjść.

Z czasem bowiem drobny na pozór fakt wybił mnie z tematu.

Miałam wówczas już pewnie ze dwanaście lat. Późnym wieczorem siedziałam w domu, przy stole, pod palącą się lampą, w towarzystwie matki i jej siostry, a mojej ciotki. Czytałam wspinały, krew w żyłach mrozący kryminał pod tytułem „Straszny garbus”. Kryminał był tak przerażający, że wlałam z nogami na krzesło, tkwiąc na nim w bardzo niewygodnej pozycji i usiłując zajmować jak najmniej przestrzeni. Bałam się śmiertelnie i wołałam w żadną stronę nie wysuwać kończyn, najbardziej na tajemnicze niebezpieczeństwo narażonych. Musiałam mieć zapewne błędny i wystraszony wyraz twarzy, bo ciotka, spojrzawszy na mnie raz, oderwała się od układanego pasjansa i już nie spuszczała ze mnie wzroku. Potem gestem wskazała mnie matce i powiedziała spokojnym, normalnym głosem, tak jakby mówiła o pogodzie:

– O, stoi za tobą.

Wrzasnęłam okropnie i zleciałam z krzesła. Przez trzy następne doby żadna siła na świecie nie zmusiłaby mnie do wejścia do ciemnego pokoju.

Oprzytomniawszy nieco i wydobywszy się spod wpływu lektury o garbusie, rozmyślałam czas jakiś, aż

doszłam do wniosku, że jednak zbrodnia jest elementem bardziej frapującym niż miłość, nawet nadziemska. Od tego momentu zapragnęłam napisać kryminał.

Płynęły lata, czas leciał, wyszłam za męża, zakończyłam edukację, ale cokolwiek się działo, ciągle chciałam napisać powieść. Niestety, z upływem lat wyrosła we mnie przeszkoda nie do przewyciężenia. Podły los obdarzył mnie nadmierną wyobraźnią, która utrudniała mi nie tylko ewentualną twórczość, ale także i życie.

W życiu powodowała komplikacje małżeńskie. Pewnego dnia doszłam nagle do wniosku, że powinnam wzbudzić w mężu nieco zazdrości. Na żadne rzeczywiste działania nie miałam czasu, ale wyobrazić mogłam sobie wszystko, cokolwiek mi tylko strzeliło do głowy. Wyobraźnia zaczęła więc działać i zanim się zdążyłam obejrzeć, już zobaczyłam siebie przy boku szalenię przystojnego blondyna, który, wpatrzony we mnie olśnionym spojrzeniem, czynił wysiłki, żeby mnie poderwać. Oczywiście wszelkie jego starania były już z góry skazane na niepowodzenie, bo przecież nie o romanse mi chodziło, tylko o demonstrację. Udawałam szalone nim zainteresowanie wyłącznie w tym celu, żeby mąż się wreszcie zaniepokoił. Długo to trwało, blondyn się zniecierpliwił, mąż na nowo tak jakby zapłonął uczuciem, więc w końcu uznałam, że czas przystąpić do sceny puszczenia blondyna kantem i całą rzecz wyjaśnić.

Stałam nad deską i prasowałam dziecięce koszule. Oczyma wyobraźni widziałam wnętrze kawiarni „Krokodyl”, na piętrze, sala w głębi, po schodkach. Siedziałam z blondynem przy stoliku pod ścianą i wyjaśniałam mu subtelnie, że służył tylko za narzędzie, a moje płomienne uczucia do niego były wyłącznie przemyślaną

fikcją. Równocześnie wyrażałam nadzieję, że mi to wybaczy i że pozostaniemy w przyjaźni. Blondyn okazał się człowiekiem kulturalnym i na poziomie, nie wpadł przeze mnie w przesadną rozpacz, wybaczył i toczyliśmy konwersację w doskonałej zgodzie i znakomitym humorze. Zamierzałam sobie dalej wyobrazić, jak mąż, szalejący z rozpaczą i odrodzonego uczucia, robi mi piekielną awanturę, jak mu padam w ramiona, jak wszystko się wyjaśnia i w idealnej harmonii gramy z blondynem w brydża. Czwartym mógł być byle kto.

Tymczasem w trakcie rozmowy z blondynem patrzyłam na wejście i nagle ujrzałam, jak w tym wejściu staje mój mąż w towarzystwie szalowej blondynki...

Zdenerwowało mnie to nieco, bo tej sceny nie miałam w programie. Sięgnęłam po następną dziecięcą koszulę i cofnęłam się do początków wyjaśnień z blondynem. Dojechałam do tego samego momentu konwersacji, spojrzałam na wejście i znów ujrzałam męża z szalową blondynką. Postanowiłam nie walczyć z obrazem, tylko patrzeć, co będzie dalej. Mąż z blondynką weszli i usiedli przy stoliku, mąż w lansadach, blondynka godna i królewska. Zaniedbałam mojego blondyna i przyglądałam się im w milczeniu.

Mąż wstał i poszedł do bufetu. Podniosłam się, podeszłam do blondynki, usiadłam obok i spytałam:

– Bardzo panią przepraszam, co panią łączy z tym panem, który pani towarzyszy?

Blondynka spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem.

– To mój mąż – odpowiedziała spokojnie.

Nie wierzyłam własnym uszom. Niesłychanie zdumiona obejrzałam się na faceta przy bufecie. Nie, no mój własny mąż, jak byk!

– Przecież ten pan jest żonaty! – zawołałam ze zgrozą.

– Ach, proszę pani – odparła blondynka pobłażliwie.  
– Cóż znaczą papierki wobec uczucia...

To było już zbyt wstrząsające! Nie wiem, co uczyniłabym za chwilę w „Krokodylu”, gdyby nie to, że pod żelazkiem z sykiem roztopił mi się guzik z masy plastikowej. Gwałtownie oderwana od męża z blondynką, wyprowadzona z równowagi, podniosłam żelazko i przez chwilę nie wiedziałam, co z nim zrobić. Usiłowałam je postawić na maselnicze, potem umieściłam je na filiżance z wodą do moczenia koszul, i wreszcie oprzytomniałam, kiedy zleciało z hukiem na podłogę.

Obraz blondynki był tak natrętny, że nie mogłam się go pozbyć i przez kilka dni odnosiłam się do męża podejrzliwie i nieufnie, co w połączeniu z naprawą żelazka spowodowało przejściowe niesnaski.

Miałam przyjaciółkę, a przyjaciółka miała brata. Brat z kolei miał motocykl, żonę i antytalent mechaniczny. Żona była czarującą kobietą, przy której nasi panowie wyraźnie nabierali wigoru. Jeszcze mój mąż się jako tako trzymał, bo, acz piękna, była nie w jego typie, ale mąż przyjaciółki na sam widok rzeczonyj Danusi ogniem z nozdrzy parsknął i iskry krzesnął, a możliwe, że zdarzało mu się nawet zarżnąć, kiedy nikt nie słyszał.

Wszystkie trzy pary miały motory i snuliśmy plany wspólnego spędzenia wędrownego urlopu. Zważywszy istotnie wyjątkowy antytalent mechaniczny brata przyjaciółki i jego doskonałe w tej dziedzinie nieróbstwo, obaj nasi mężowie już z góry zaprzysięgli się, że w razie awarii nie będą mu pomagać. Zaprzysięgali się tak już wielokrotnie w różnych okolicznościach i zawsze łamali przy-

się, robiąc za niego i warcząc, ale tym razem to miało być co innego.

– Ty sobie to wyobrażasz? – mówił marząco mąż przyjaciółki do mojego. – Tadeusz robi dętkę, a my nic! Tadeusz koło odkręca, oponę zdejmuje, a my sobie na trawce, w rowie... Masz pojęcie?

– Pompuje... – dodawał mój mąż równie marząco. – A my nic!...

Jadąc trolejbusem i patrząc przez okno na zalaną słońcem ulicę, ujrzałam nagle doskonale mi znany widok: długa, szara szosa, drzewa po obu stronach, z boku szosy stoją trzy motory... Przy jednym z nich opływający potem nieszczęsny Tadeusz szarpie się z opornym kołem. Na zboczu zielonego, trawiastego rowu dwaj nasi mężowie promienni, tryskający humorem, szarmancko obskakują roześmianą Danusię. Istna sielanka! A my obie z przyjaciółką na uboczu, opuszczone, zapomniane, samotne...

Sugestywny obraz zasłonił mi cały świat. Weszłam w rolę!

Z niesmakiem przyjrzałam się rozflirtowanej grupie w rowie, a potem rzuciłam okiem na przyjaciółkę. Patrzyła również na nich, a na obliczu jej widniała ponura wściekłość. Uznałam, że przepelniają nas jednakowe uczucia, wobec czego mogę oczekiwać od niej pełnego zrozumienia. Trąciłam ją w łokieć i gestem wskazałam nasz motor, stojący z kluczykiem w stacyjce. Przyjaciółka bez słowa kiwnęła głową, w oczach jej zapłonął mściwy blask. Podeszliśmy do motoru, zepchnęłam go z podnóżka i kopnęłam rozrusznik. Zapalił natychmiast, co mogło się zdarzyć tylko w mojej fantazji, bo w rzeczywistości był wyjątkowo oporny w zapalaniu, ale nie miałam te-

raz czasu uwzględniać głupich fanaberii pojazdu mechanicznego. Zanim promienne towarzystwo w rowie zdążyło zwrócić na nas uwagę i zareagować, już silnik ryknął, już przyjaciółka siedziała za mną i wspaniałym zrywem ruszyliśmy w siną dal. Ze złości leciałam stową i nie było mowy o tym, żeby nas mogli dogonić, zresztą istotnie nasz motor ciągnął najwięcej ze wszystkich.

Po pewnym czasie dojechałyśmy do PTTK-u, w którym już uprzednio mieliśmy zamiar się zatrzymać. Ilości przejechanych kilometrów bliżej nie sprecyzowałam, jak również czasu jazdy, zważywszy, że i tak nie wiadomo było, kiedy Tadeusz skończy robić koło. Zadowolone z przedsięwzięcia, usatysfakcjonowane, zostawiłyśmy motor, zjadłyśmy obiad i czekałyśmy na pognębionych panów i władców, siedząc na schodkach budynku i obserwując widoczną w dali szosę.

Wyraźnie widziałam przed sobą sznur rosnących wzdłuż szosy drzew, bliżej krzewy, które zasłaniały zakręt, i jeszcze bliżej znów szosę. Usłyszałam warkot motorów. Zbliżał się, narastał i nagle zza krzewów, zza zakrętu, wypadły dwa znajome motocykle. Na jednym jechał mąż przyjaciółki z jej bratem, a na drugim... mój mąż z Danusią!!!

No nie, tego widzieć nie miałam zamiaru. Oni powinni byli przyjechać we właściwym zestawie, skruszeni, zaniepokojeni, zażenowani swoim poprzednim, najzupełniej idiotycznym zachowaniem... A nie tak!

Wróciłam do punktu wyjścia. Znów siedziałyśmy w oczekiwaniu, znów usłyszałam w dali warkot. Zza zakrętu wyleciały dwa motory i znów to samo: mój mąż z Danusią!

Szlag mnie trafił. Opanowana sugestywnym obrazem, zerwałam się z miejsca i popędziłam do motoru.

– Jedziesz?! – krzyknęłam z furją do przyjaciółki.

Przyjaciółka solidarnie popędziła za mną. Nieprzytomna z wściekłości ruszyłam w dalszą drogę.

Dalej nastąpiły przedziwne komplikacje. Ponieważ od początku nie przewidziałam zabrania ze sobą plecaka, już go nie zdołałam umieścić w polu widzenia i byliśmy pozbawione podstawowych rzeczy. Na dobitek nie sposób było ustalić miejsca ponownego spotkania, bo zbyt głęboko tkwiło we mnie przekonanie, że nasi mężowie są pozbawieni zdrowego rozsądku i nie potrafią nas znaleźć. Miałyśmy ich szukać? Wykluczone, ostatnia hańba! Nie, nie mogę pozwolić na takie zamieszanie tylko dlatego, że temu bałwanowi spodobało się jechać z Danusią, muszę temu wreszcie przeszkodzić!

Z uporem wróciłam po raz trzeci do tej samej sceny. Bezskutecznie! Po raz czwarty, piąty, szósty... Za każdym razem zza krzewów wypadała na motorze Danusia za moim mężem!

Ile się namęczyłam, żeby ją z tego motoru zrzucić, to przechodzi ludzkie pojęcie! Niestety, wyobraźnia była silniejsza ode mnie. Wsiadłam z trolejbusu nieprzytomna z wściekłości o dwa przystanki za daleko i tego samego dnia wieczorem zrobiłam mężowi bez żadnego powodu okropną awanturę. Moje szczęście małżeńskie było wyraźnie zagrożone.

Ta sama historia powtarzała się w powieściach. O moich bohaterach nie myślałam, widziałam ich. Widziałam, jak chodzą, siedzą, robią różne rzeczy, całkowicie niezależnie ode mnie. Żyli własnym życiem, a ja mogłam im się tylko przyglądać.

Pół biedy było, kiedy ich poczynania miały jakiś sens. Niestety, to byli ludzie nieobliczalni i pełni głupich pomysłów!...

We wspaniałym kryminale, którego akcja zaczęła się toczyć przed moimi oczami, następowała kluczowa scena, w której bohaterowie w liczbie czterech siedzą w pokoju i toczą rozmowę, wyjaśniającą zasadnicze zagadnienia powieści. Najważniejszy osobnik, młody, przystojny blondyn (znów blondyn! Co jest, swoją drogą, z tymi blondynami?!) ma się włączyć w dyskusję w dramatycznym momencie, kiedy wszystko się gmatwa i nikt nic nie rozumie, powodując przez to wystrzałowe rozwiązanie.

Z zainteresowaniem patrzyłam, jak siedzą i rozmawiają, zdenerwowani, przejęci, pełni niepokoju. Wreszcie milkną, zdezorientowani, i spoglądają na blondyna. Ja też spojrzałam na blondyna.

Blondyn podniósł głowę, uśmiechnął się i zamiast zabrać głos, wstał z krzesła i wyszedł. Najzwyczajniej w świecie podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł.

Nie, no, idiota! Gdzie go diabli niosą? Miał mówić rewelacyjne rzeczy, a tymczasem wychodzi! Co za kretyńskie pomysły!

Zmęczyłam się okropnie, wracając w nieskończoność do tego samego momentu bez wpływu na poczynania blondyna. Za każdym razem zamiast udzielać wyjaśnień podnosił się i wychodził. Wreszcie machnęłam ręką na zaplanowaną akcję i postanowiłam patrzeć, co zrobi dalej. Może ma na myśli coś, co mnie do głowy nie przyszło?

Blondyn szedł korytarzem. Zbliżył się do drzwi, zapatrzonych napisem: „WC męski”, i wszedł do środka.



No nie! Tego już za wiele! Istotnie, to mi nie przyszło do głowy!...

Zniechęcona i rozgoryczona zmieniałam nieco temat. Przystawiłam się na nielegalny i zakonspirowany romans. Wyobraźnia miała największe pole do działania przy bezmyślnych zajęciach gospodarskich, więc tym razem trafiło mnie przy praniu. Zamiast mydlin kłębiących się w pralce ujrzałam miejsce akcji, a mianowicie piękny, piętrowy budynek, były pałac, obecnie zamieniony na siedzibę jakiejś państwowej instytucji. Dookoła budynku stary, zapuszczony park, wysokie drzewa, alejki, częściowo porośnięte trawą, zrujnowane ogrodzenie, za nim pola, łąki i lasy. W budynku mieszkała grupa ludzi, wydelegowana w te okolice przez macierzystą instytucję w celu spełnienia jakiegoś bardzo ważnego zadania. Rodzaj pracy tych państwa na razie mnie nie interesował.

Pośród innych osób była tam pewna pani i pewien pan, płonący ku sobie nawzajem niedwuznacznymi uczuciami. Pani miała męża, a pan żonę, przy czym obie te drugie połowy również były na miejscu obecne. Chwilowo dodawało to obrazowi miłej pikanterii, ale gdybym wiedziała, jakie komplikacje przyniesie mi później stan cywilny tych państwa, bez wątpienia starałbym się usilnie jakoś go zmienić.

Za lasem, na samym skraju, ujrzałam starą stodołę, spróchniałą, nieużywaną i chylącą się ku upadkowi. W stodole leżało nieco siana, a na środku, między sąsiedkami, stała bardzo stara, połamana, zardzewiała sprężynówka. Ta właśnie stodoła miała być miejscem spotkania nielegalnie romansujących.

Przez spotkanie przebrnęłam szczęśliwie, z powodzeniem przełamując takie trudności, jak niezbędne usu-

nięcie z pola widzenia dwojga kantowanych małżonków oraz przedostanie się do stodoły zainteresowanych bohaterów bez świadków. Komplikacje zaczęły się po powrocie z czarującej randki.

Otóż razem z powracającą panią na werandzie pałacu z niepokojem ujrzałam mundury milicji obywatelskiej. Od razu mi się to nie podobało, ale zaryzykowałam i przez chwilę pozwoliłam działać władzy ludowej, a potem było już za późno. Morderstwo, popełnione w czasie nieobecności tych państwa, stało się faktem nieodwracalnym.

Oczywiście dwoje głównych bohaterów nie miało alibi, bo przecież usilnie się starali, żeby ich nikt nie widział, nie dość na tym, nie mogli się nawet przyznać do przebywania w swoim towarzystwie, bo małżonkowie słuchali. A ci państwo wcale nie zamierzali się ujawniać i powodować jakichś potężnych zaburzeń matrymonialnych, bo obie pary miały dzieci, małżeństwa były bardzo zgodne i świetnie dobrane i tylko chcieli sobie trochę spokojnie poromansować.

Wbrew trudnościom akcja toczyła mi się nadszpodziewanie dobrze, nawet wizyta pani w stodole miała się przyczynić do wykrycia przestępcy i nagle nastąpiła katastrofa. Pani weszła do pokoju, zajmowanego wraz z mężem, i spojrzenie jej padło na stół. Na stole leżał list. Zwyczajny list w niebieskiej kopercie ze znaczkiem za 15 groszy. Pani się tym nie przejęła, ale mnie włosy stanęły dęba na głowie, bo znałam treść listu. To był anonim, który całą moją akcję rozsypał w gruzy.

Do końca prania usiłowałam ten anonim zlikwidować. Chciałam go wrzucić do ognia, dać myszom na pożarcie, wszelkimi siłami starałam się sprowadzić burzę

i ulewę, która by go dokładnie rozmoczyła, wszystko na próżno. List leżał niewzruszenie jak sfinks na pustyni.

Przez ten przeklęty list wszystko się pomieszało. Pani już nie mogła współdziałać w wykrywaniu mordercy, znalezione na starej sprężynówce odciski palców świadczyły na niekorzyść głównych bohaterów pod każdym względem, zakochana para przestała być zakochana i zaczęła się kłócić, aż wreszcie w tym całym zamieszaniu zginął mi gdzieś nieboszczyk. W takiej sytuacji byłam zmuszona zaniechać kontynuowania tej niesłychanie skomplikowanej powieści.

Po pewnym czasie podjęłam jeszcze jedną próbę. Tym razem miało to być dzieło sensacyjno-obyczajowe. Na samym początku główny bohater, młody lekarz, obarczony żoną i potomkiem płci męskiej zamierzał wyjechać na urlop nad morze, gdzie właśnie miała się toczyć wspomniana sensacyjna akcja. Oczywiście, z uwagi na rodzinę, był zmuszony jechać slipingiem i to mnie zgubiło.

Kupowanie biletów sypialnych w okresie letnim jest czynnością trudną i skomplikowaną. Młody lekarz udał się pod Orbis w celu zajęcia miejsca w ogonku już poprzedniego dnia wieczorem i tym razem nawaliło mi całe odporne społeczeństwo. Pod Orbisem nie było nikogo, co w równym stopniu zaskoczyło mnie, jak i młodego lekarza. Po godzinie denerwowania się nietypową sytuacją z ulgą ujrzeliśmy, on i ja, zbliżającego się starszego pana z parasolem. Pan z parasolem robił wrażenie człowieka, dla którego stanie w ogonku po bilety sypialne jest chlebem powszednim. Zbliżył się do młodego lekarza, który na jego widok pełen nadziei zerwał się z parapetu orbisowskiego okna.